

Znudzeni, zmęczeni, wściekli

Andrzej Leder

Krytyka Polityczna nr 45, 2016 r.

Relacja folwarczna to relacja władzy. Jeden człowiek ma władzę nad innym, może mu coś nakazać, może go oceniać, upokarzać i czerpać z tego satysfakcję, może odrzucać i wykluczyć... To cechuje wszelkie relacje władzy. Jednak relacja folwarczna cechuje się wśród nich czymś szczególnym; jedna strona jest tu o wiele potężniejsza od drugiej, ta druga sytuuje się w pozycji skrajnej słabości. Wzorcem jest tu oczywiście władza feudalnego pana nad poddanymi, ale w dzisiejszym świecie nawet gdy stosunki sił nie są tak skrajnie nierówne, jak w feudalnym folwarku, głęboko uwewnętrznione schematy zachowań, sposoby przeżywania i zagospodarowywania tych przeżyć powodują, że relacje (od relacji pracodawcy i pracownika począwszy) jak zaczarowane, odtwarzają wzorzec folwarczny. Metaforycznie mówiąc – czyjaś ręka po bat sięga, czyjś grzbiet pod bat się pochyla.

W naszym regionie relacja folwarczna wywodzi się z pańszczyźnianej gospodarki wschodnioeuropejskiej, charakterystycznej dla I Rzeczypospolitej. Dyby, bat i szubienica – możliwości stosowania bezpośredniej przemocy – były podstawowym atrybutem tej formy ludzkich stosunków. Dzisiaj jednak brutalność relacji folwarcznej funkcjonuje zwykle w bardziej zakamuflowanych formach. W końcu cechą społeczeństwa mieszczańskiego jest między innymi to, że relacje przemocy i hierarchii kamufluje.

W swojej pierwotnej formie relacja folwarczna przetrwała zniesienie poddaństwa i obecna była jeszcze w Polsce międzywojennej. Nawet rewolucja społeczna, której polskie społeczeństwo doświadczyło w okresie 1939–1956, nie unicestwiła relacji folwarcznej jako pewnej struktury mentalnej; zespołu postaw i nawyków, przepływów społecznej energii, reakcji i odruchów, fraz językowych i sposobów wartościowania wreszcie. To jest właśnie element „prześnienienia” przemian, które się wówczas dokonały.

Paradoksalne jest to, że w dzisiejszej Polsce relacja folwarczna rozgrywa się nie między jakimiś domniemanymi „panami” a przedstawicielami „ludu”. Rewolucja okresu 1939–1956 zmiotła tak dawnych ziemian i formację kulturową z nimi związaną, jak skromną burżuazję, najczęściej żydowską i niemiecką. Relacja folwarczna przetrwała więc przede wszystkim w wyobraźni potomków „ludu”, w swym rdzeniu chłopskiego. Przechował ów lud w swej pamięci starannie stosunek do wszelkiej zwierzchności, strach, urażoną dumę, upokorzenie i chęć odwetu. Przechował też wizję tego, co przystoi „pańskiej stronie”; brutalność, arogancję, rywalizację na to, „kto godniejszy”. A wszystko to „lukrowane” dobroczynnością. Dzisiejsza klasa średnia nosi tę lekcję w kościach i na wzór owych wyobrażonych figur, żywcem z dzieł Sienkiewicza, a może raczej – Kitowicza – organizuje sobie relacje z innymi ludźmi.

Opis relacji folwarcznej w dzisiejszej Polsce dotyczy więc nie tyle domniemanej, dawnej klasy „pańskiej”, co sposobu organizowania hierarchii przez dzisiejszych silnych z dzisiejszymi słabymi. Niezależnie od tego, że i jedni i drudzy w ogromnej większości wywodzą się z warstw ludowych. Wynika z tego istotna cecha opisu – analizy fenomenologicznej raczej niż

historycznej czy socjologicznej – relacji folwarcznej. Skupia się opis na słabszej, „ludowej” stronie tej relacji. Dziedzictwo bowiem owej strony decyduje dzisiaj o kształcie, jaki przybiera ona w ogromnej większości przypadków. Uwewnętrzzone cechy dawnej słabości, przeniesione w pozycję siły, przynoszą w rezultacie szczególne cechy klasy średniej naszego kraju.

*

Relacja folwarczna dotyczy bardzo wielu stosunków między ludźmi. Przede wszystkim często występuje w rodzinach, ujawnia się w sposobie traktowania dzieci albo wzajemnego traktowania się przez małżonków/partnerów. Powszechne przyzwolenie na bicie dzieci i związane z tym wyobrażenia o przemocy jako źródle autorytetu bezpośrednio płyną z tęsknoty za „naturalną” hierarchią folwarku. Przy czym przemoc fizyczna jest tylko jedną z form nadużycia; w tym celu mężczyźni, nie szczędząc jej ani dzieciom, ani kobietom. Przemoc zakamuflowana, wynikająca z możliwości zastraszania, upokarzania, potępienia i wykluczania jest zapewne dzisiaj częstsza – i sprawliwiej rozdzielona pomiędzy płci – niż przemoc bezpośrednia. Rzadziej piętnowana – jeśli już to za pomocą zagranicznego słowa *mobbing* – choć równie niebezpieczna.

Oczywiście, „słabi słabych” też mają swoje strategie obrony. Dzieci najczęściej zamykają się w sobie. Latami tkwią w obcości obok buzujących złością rodziców. Pustka tych relacji maskowana jest, szczególnie w nowej klasie mieszczańskiej, rozbudowanymi rytuałami rodzinnymi; wesela, chrzty, komunie, inne okazje... Rytuały te mają zrównoważyć dotkliwy brak, jednocześnie stają się okazją „pańskich” zachowań, jak zwykle służących ustalaniu hierarchii, rywalizacji „kto godniejszy”, legitymizowaniu statusu.

Funkcja katolickiego kleru, na którym zazwyczaj opiera się ta karuzela rytuałów, staje się tu szczególnie ważna, to on właśnie staje się dysponentem tych wszystkich dóbr: godności, statusu, pozycji w hierarchii. Sam kształtowany w niesłuchanie hierarchicznej strukturze, korzeniami tkwiącej w polskiej kontrreformacji XVII stulecia, traktuje relację folwarczną jako najbardziej naturalną.

Kler staje się ważnym elementem relacji folwarcznej jeszcze z innej przyczyny. Dla kobiet, bitych i poniewieranych przez swoich upokorzonych mężczyzn kościół staje się źródłem siły, pozwalającej z cierpienia uczynić narzędzie odwetu. Moralne unicestwienie, któremu podlega w takiej sytuacji oprawca, połączone z ostentacyjnym uwielbieniem postaci religijnych, od Chrystusa po lokalnego proboszcza, pozwala odpłacić za brutalną przemoc.

Stąd charakterystyczny sojusz pewnej części kobiet, zwykle słabszych społecznie, i kościoła. Sojusz, który zwrótnie utrwała ten aspekt relacji folwarcznych, umieszczający kler w pozycji dominującej władzy symbolicznej. Gdy inni posiadacze tej władzy, sytuujący się po tradycyjnej stronie „pańskiej” – a więc dawne ziemiaństwo – są w dzisiejszym społeczeństwie istotnie osłabieni, kler staje się potęgą, nie mającą w Polsce prowincjonalnej żadnej konkurencji.

*

Relacja folwarczna jest antagonistyczna. Nawet jeśli strony relacji mają pewne wspólne pragnienia albo interesy, schodzą one na plan dalszy wobec istoty relacji, jaką jest próba sił. Wobec tych sił dysproporcji jest to jednak próba bardzo szczególna, próba w warunkach poczucia skrajnej nierówności. Stawką i nagrodą, o którą gra strona silniejsza, jest utwierdzenie się w swoim poczuciu wyższości. Jest to możliwe dzięki upokorzeniu strony słabszej i uzyskaniu od niej uznania. Uznania jej wyższego statusu. Przy czym ów wyższy status jest czymś więcej niż tylko uznaniem tego, że ktoś ma większy, powiedzmy, kapitał. Chodzi o pozycję, którą można by nazwać „gatunkową”, o poczucie, że jest się kimś „lepszym” w jakiś istotowy sposób.

Owo poczucie wyższego statusu uprawomocnia dominację. A ponieważ dzisiejsza klasa średnia z poczuciem prawomocności ma kłopot, chętnie osuwa się w różnego rodzaju zabiegi „statusowe”, mające legitymizacji dostarczać. Upokarzanie słabszych i wymuszanie na nich dowodów uznania jest nie najmniej ważną strategią umacniania takiej słabej legitymizacji. Na marginesie, owo powszechnie obecne, a jednocześnie ukrywane i przemilczane źródło satysfakcji – rozkosz dominowania – jest bardzo istotnym motorem ludzkich zachowań, może więc usunąć w cień inne motywacje. W gruncie rzeczy trzeba konsekwentnego i mądrego wychowania, wychowania do równości, by zastąpić ten rodzaj motywacji innymi.

Z kolei stawką i nagrodą, o którą gra strona słabsza, jest – poza załatwieniem sprawy pozostającej we władzy silniejszego – uniknięcie upokorzenia. A czasami – wystrychnięcie silniejszego na dudka. Chwilowe odwrócenie relacji, karnawał na folwarku, jest jednak zwykle efektem sprytu i chytryści, a nie dążeniem do rzeczywistej równości praw. Promuje więc tych, którzy są cwani i pokretni. Najczęściej jednak, jako że antagonizm w relacji folwarczej rozgrywa się w sytuacji skrajnej nierówności sił, rozwiniętą do perfekcji strategią słabszego jest bierny opór. Tam, gdzie rządzi ten typ relacji, mało więc mamy otwartych i przebiegających zgodnie z pewnymi regułami konfliktów. Konflikty są skryte, często mamy wręcz do czynienia z pozorami harmonii.

Skądinąd żadna ze stron relacji folwarczej nie jest zainteresowana otwartym ujawnieniem konfliktu. Z jednej strony ujawnienie konfliktu psuje pozór harmonii, z którego to pozorów obie strony wyciągają pewne, przede wszystkim „godnościowe” korzyści. To bym nazwał „folwarczym kontraktem”. Pan jest „dobrodziejem”. Nawet jeśli kogoś upokarza, to tylko „dla jego dobra”. Upokarzany zaś z wdzięcznością przyjmuje te „nauki”, pokazując, że zna swoje miejsce i jest z tego miejsca dumny. W polityce często buduje to relację kliencką, pozornie obie strony łączą jakieś „ideały” czy „wartości”, w gruncie rzeczy polityk trzyma swoich klientów na smyczy przywilejów, wydobywających ich z codziennej beznadziei. Ale ten rodzaj „kontraktu” pojawia się oczywiście też w innych sferach. Jeszcze niedawno pracodawca, wyrzucając pracownika, mówił na przykład: „To będzie dla niego lekcja, która pozwoli mu zrozumieć, że nie jest przystosowany do wymagań rynku...”.

*

Relacja folwarcza przenika te odniesienia – i praktyki społeczne – które mają kluczowe znaczenie dla funkcjonowania wspólnoty i z którymi związane jest społeczne zaufanie. To relacje takie jak polityka i wyborcy, lekarza i pacjenta, prawnika i klienta, duchownego i wiernego, nauczyciela i ucznia, urzędnika i petenta, wreszcie, wspomniana już, pracodawcy i pracobiorcy. A także, charakterystyczna dla kultury spektaklu i negocjowania widzialności, celebrytów i reszty, w nich wpatrzonej.

Gdy lekarz mówi matce gorączkującego dwulatka: „Jak mogła pani mu to podać?! No zobaczy pani, nic dobrego z tego nie będzie...”, a ta, przerażona, wyobraża już sobie drgawki i pogrzeb; gdy duchowny wbija zrozpaczoną dziewczynę w poczucie grzechu, a często jeszcze żąda pokory i pieniędzy (pomińmy sytuację, gdy żąda jeszcze czegoś...); gdy nauczyciel upokarza dziecko za zadanie pytania, bo przecież „Milcz, jak do mnie mówisz!” – to właśnie wtedy stają się stroną relacji folwarczej.

Jest tą stroną również prawnik, który zamiast pomóc klientowi w zrozumieniu sytuacji, wywyższa się, używając zupełnie niezrozumiałego żargonu i zastrasza przyciśniętego człowieka, rozpościerając wokół niego gąszcz paragrafów, za którym majaczy katastrofa i więzienie. Co ciekawe, takie prawnicze praktyki, opisywane w XVII wiecznej Francji na przykład przez Moliera a w XIX wiecznej Anglii – przez Dickensa, mogłyby się wydawać „z natury” przypisane owej profesji. Jednak właśnie pojawienie się krytycznych opisów w komedii czy powieści mieszczańskiej pokazuje, jak burżuazja francuska czy angielska nabiera

świadomości swej siły. Dzięki temu zaś może symbolicznie zakwestionować pozycję prawnika, który nie dostarcza efektów, mierzonych zyskiem, a przede wszystkim dba o swój status. Polskie mieszczaństwo na razie nie wypracowało tak ostrego spojrzenia, co wypominał mu znany niemiecki krytyk literacki, wywodzący się z Polski, Marcel Reich-Ranicki.

*

Sprawa tłumienia i skrywania – również przed sobą – nienawistnych uczuć związanych z relacją folwarczną jest dla trwałości tego rodzaju odniesień bardzo ważna. Zdolność samooszukiwania, tworzenia zupełnie iluzorycznego obrazu samego siebie, zdolność idealizowania oprawcy pozwalają trwać w różnego rodzaju nieznośnych sytuacjach. Tworzą jednak kulturę obłudy. Jest to kultura „podwójnego myślenia”, w krajach Europy wschodniej znacznie starsza niż rządy komunistycznego totalitaryzmu, raczej przez owe reżimy z talentem zaadaptowana. I choć przetrwanie wielu wydaje się kluczową wartością, za ten rodzaj lukrującej ułudy płaci się wysoką cenę.

Z drugiej strony, w momencie ujawnienia nagiej przemocy i wybuchu wściekłości nie ma żadnych reguł określających przebieg konfliktu, a w związku z tym grozi on zawsze przekształceniem w konflikt „o wszystko”, na śmierć i życie. Dla słabszego ryzyko jest tu oczywiste – przypadek Jolanty Brzeskiej, spalonej za ujawnianie przemocy związanej z rugowaniem lokatorów jest tu pierwszym z brzegu przykładem – ale również silniejszy ryzykuje. Dla dawniejszych czasów dobrze ilustrują to chłopskie bunty, takie jak rabacja czy bunt Chmielnickiego. Dzisiaj, kiedy rzadko kto kogo zamyka w dyby albo rżnie piłą, ujawnienie konfliktu i odwołanie do nagiej przemocy przez kogoś w pozycji pańskiej karane jest zwykle delegitymizacją moralną i utratą uznania, o które w końcu w tym wszystkim chodzi. Pracodawca czy menedżer, który skłoni ludzi do odchodzenia z pracy „za porozumieniem stron” i w ten sposób, niepostrzeżenie zredukuje załogę o jedną trzecią, będzie cieszył się lepszą opinią, niż ten, który ich wszystkich wyrzuci „na bruk”. O ile oczywiście nie ma akurat mody na pokazywanie „chamom” gdzie ich miejsce.

*

Pierwszym więc obszarem, w którym słabszy realizuje swoją strategię biernego oporu, jest obszar dyskursu, czyli pewne praktyki mówienia i niemówienia. Najprostszą jest milczenie. Nieodpowiadanie na zadane pytania, cedzenie słów, w ogóle unikanie jakiegokolwiek wypowiedzi, dopóki druga strona „się nie ujawni” – to znane każdemu sytuacje pojawiające się w relacjach z kimś, kto albo postrzega się jako słabszy, albo ma cechy mentalności ukształtowanej „po słabszej stronie” relacji folwarcznej. Wywodzi się ten sposób funkcjonowania z sytuacji poddanego chłopca, w którego położeniu niezależna wypowiedź, jak każde niezależne zaistnienie, była czymś ryzykownym. Poddany mówi tylko, gdy jest do tego zmuszony. A i wtedy toczy z pytającym panem swoistą grę – mówi tak, by nic nie powiedzieć. Czasem używa w wypowiedzi alegorii, w razie czego łatwo dowodząc, że przecież on nic tam nie miał na myśli...

Jednocześnie jednak pozostaje urażony samym zadaniem pytania; każda interpelacja upokarza go, wytrącając ze stanu ochronnej izolacji i budząc widoczną niechęć i resentyment. Ponieważ właściwie każdy kontakt z drugim człowiekiem przeżywany jest przez niego jako przemocowy – i na dodatek często taki bywa – sposobem na zmniejszenie nieprzyjemnych doznań jest unikanie kontaktu w ogóle, hodowanie w sobie postawy „społecznego autyzmu” i delectowanie się, jak na obrazach Chełmońskiego, przepływającymi obłokami i rykiem krów z oddali. Albo rykiem jakiejś muzyki w słuchawkach.

Nic więc dziwnego, że gdy ktoś zadaje osobie w takim stanie jakiegokolwiek pytanie, budzi niechęć. Zawody wymagające sprawności komunikacyjnej nie są więc dla nich łatwe. Nadal

częsta w Polsce, choć może nie tak jak przed dwudziestu laty, obrażona mina pracujących w usługach – kelnerów, sprzedawczyń, taksówkarzy – wyraża ten stan ducha. Usługiwanie komuś jest na dodatek przeżywane jako powrót do swego rodzaju poddaństwa, czyli sytuacji upokorzenia.

*

Sytuująca się na antypodach ponurego milczenia swoboda w kontakcie, erudycja i dobre wychowanie polskiej inteligencji, cechy którymi szyci się ona i które skądinąd w codziennym obcowaniu są bardzo sympatyczne, świadczą jednocześnie o przynależności tej grupy do kultury „pańskiej”. Inteligencja bowiem, jako formacja kulturowa, wywodzi się z dworu. Nawet jeśli dwór w międzyczasie zubożał – bo powstania, wojny i komuniści – a duża część dzisiejszych inteligentów wywodzi się z rodzin chłopskich, robotniczych albo jeszcze tam jakichś, sama forma tożsamości i związane z nią praktyki społeczne oraz imaginaria ukształtowały się w XIX-wiecznej kulturze „pańskiej”. Pogarda i niechęć do chamstwa „chamów” – zrozumiałe w tym sensie, że chamstwa i brutalności nigdy nie należy sankcjonować – są jednocześnie przejawami dystynkcji, którą dystyngowani odgradzają się od niedystyngowanych. Ja przepowiadam sobie w związku z tym czasem myśl Waltera Benjamina: „...wszystkie te dobra kulturowe odznaczają się rodowodem, którego nie potrafi[ę] rozważyć bez trwogi”.

Stąd problem, który „przyjaciele równości” mają z powszechnym narzekaniem na „schamienie” naszych czasów. Niezależnie, że od czasów Seneki przynależy ono do repertuaru odchodzących pokoleń, niepokojące jest uświadomienie sobie, że wszystkie te „dobra kulturowe” – ogłada, dobre wychowanie, smak i umiar – są wyhodowane na glebie krzywdy i wykluczenia, zaś chamstwo, brutalność i cwaniactwo są owocem tych samych stosunków; najczęściej wyrażając prowadzoną dawniej rozpaczliwą walkę o samozachowanie.

Dziś w imię rozpoznania tego rodowodu niektórzy z tych „przyjaciół wolności” chcą bratać się z kibolami czy wszelkimi „Januszami”. To nie wydaje mi się ani mądre, ani sprawiedliwe, ani też możliwe. Problem jednak pozostaje. Nie jest jego rozwiązaniem lament nad schamieniem polityki, nie jest też, przyzwolenie na to, żeby brutalność wobec słabszych stała się sposobem na zaspokajanie potrzeby „sprawiedliwości”.

*

Ostatecznie z tej próby sił, jaką jest najzwyczajsza rozmowa, każdy wychodzi sfrustrowany – ten w pozycji „pańskiej” powtarza frazy o „tępotcie tych ludzi” „braku kultury” i „*homo sovieticus*”, czasem skracając wywód prostym „trzeba by wybić to bydło”, ten w „chamskiej” odchodzi na bok i wtedy mamrocze pod nosem soczyste: „ch...”, „sk...n” albo „głupia p...a”. I gdy spotka na swojej drodze „głupią p...ę”, która akurat jest słabsza, na przykład własną żonę, to nie omieszka jej pokazać, kto tym razem jest panem.

Wymiana wiedzy, uzgadnianie działań, już nie mówiąc o próbie zrozumienia innego człowieka, słowem wszystkie funkcje mowy, związane z przekazywaniem jakiegoś obrazu rzeczywistości, odgrywają w relacji folwarcznej rolę całkowicie uboczną. Ten w pozycji siły dba o utrwalenie swojego statusu „wyższości”, ten w słabości, by nie powiedzieć nic, co mogłoby mu zagrozić, a jak się da, przechytryć silnego. Nic więc dziwnego, że wymiany słów i zdań rzadko prowadzą do konstruktywnych efektów, a jednocześnie, z tego punktu widzenia rozmowy są zwykle zupełnie nieefektywne. Czego doświadczył każdy, kto próbował ustalić na przykład czas, jakość i koszt wykonywania jakichkolwiek prac remontowych w sytuacji relacji folwarcznej, czy to będąc właścicielem, nie mogącym dogadać się z oporującymi wykonawcami, czy rozsądnym pracownikiem, który znosić musi „sadzenie się” pracodawcy.

*

Głębszym skutkiem tłumienia upokorzenia i wściekłości płynących z relacji folwarcznej jest uwewnętrznienie nienawiści i pogardy do siebie. To zaś skutkuje notoryczną niezdolnością do dbania o siebie samego i swój świat. Bylejakość, niestaranność, niechęć do wszystkiego, co wymaga długotrwałego wysiłku i zorganizowanego myślenia wiąże się tutaj z przekonaniem o własnej nędzy i złości; w końcu co ktoś taki mógłby stworzyć dobrego? W ten sposób zakumulowana energia destrukcyjnych odczuć rozkłada i wypacza każdy konstruktywny gest, który mógłby wyprowadzić człowieka poza relację folwarczną. Ściana, którą postawi, będzie krzywa, narzędzie, którym pracuje, porzucone bez opieki zacznie rdzewieć, a prezent mający podreperować stosunki małżeńskie, głupio wybrany i nieprzemysłany, wzbudzi tylko kpinę i złość. Zresztą szyderstwo – nazywane często poczuciem humoru – jest jeszcze jednym sposobem rozpaczliwego chronienia się przed upokorzeniem.

Jeszcze głębiej tkwi ciągle zmęczenie, niechęć, niezdolność do koncentracji... I różne sposoby poniżania się, prostytuowania w dosłownym i metaforycznym sensie. Kompensowane momentami wzlotów, „Ja wam tu, k..., wszystkim pokażę!”, najczęściej pod wpływem powszechnie stosowanego narkotyku, jakim jest alkohol.

Po „chamskiej” stronie relacji folwarcznej produkuje się więc kultura przepelniona nienawiścią do siebie, poczuciem słabości i beznadziei oraz tłumionym pragnieniem odwetu. Widać ją w bylejakości i brzydocie mieszkań, obejść i podwórek, w dziurach na drodze i w płocie, w bezguściu strojów i języka, w brutalności i szyderstwie wzajemnych relacji, w nudzie i udręczeniu, w twarzach zniszczonych przez alkohol, w „buraka burocie...”, wszędzie.

Autoagresywne samounicestwienie „słabych” sprzyja dwuznacznemu, głęboko obłudnemu stosunkowi do strony pańskiej. Z jednej strony stosunek ten podszyty jest uczuciami zawistnymi i odwetowymi. Z drugiej jednak, czy ktoś, kto siebie uważa za „śmiecia”, wielkie nic, mógłby przetrwać bez jakiegoś ideału? Nie mógłby. Bardzo łatwo ideałem staje się obłudrowana „pańska” postać, której brutalność i pogardę usprawiedliwia się westchnieniami w stylu: „Ale to jednak wielki lekarz...”, albo „To prawdziwa gwiazda, oni tak żyją...”, czy wreszcie: „Tak wybitny uczyony ma prawo do pewnych rzeczy...”. No, a już namiestnik pana Boga, ten to dopiero ma prawo.

Samoponiżenie ma też pewną szczególną funkcję w ekonomice rozkoszy. Im bardziej „słaby” upokarza i poniża siebie, tym wspanialej łśni postać „silnego”, a więc tym bardziej uwielbianie jej i adorowanie dostarcza przyjemnych doznań. Upokarzające praktyki podlizywania się, donoszenia i wszelkiego płaszczenia nie są więc tylko, wbrew pozorom, pragmatycznym postępowaniem, mającym zapewnić bezpieczeństwo i korzyści, one są też źródłem swoistej, lubieżnej przyjemności, która bardzo mocno wiąże „słabego” z jego obrazem „pańskości”.

Pod tym uwielbieniem i westchnieniami rozkoszy kryje się jednak zawistna mściwość. Bardzo łatwo wybuchająca w seansach deptania obalonych idoli. Stale powtarzające się cykle – pojawienie się jakiegoś obiektu uwielbienia, zachwycanie się jej/jego atrybutami, obalenie i szczucie wczorajszego idola, poszukiwanie nowego – są właśnie symptomatyczne dla tej rdzeniowej sprzeczności uczuć.

Ta zawistna mściwość ujawnia się też w stosunku do „rzeczy publicznej”, państwa, traktowanej jako „pan słaby”. Słaby, poza przyczynami historycznymi, również dlatego, że jego siła może opierać się tylko na powszechnym poszanowaniu praw. Gdy powszechna jest postawa „cwaniarzenia”, państwo staje się „panem” słabym, a to nasila lekceważenie i niechęć do niego. Dopiero gdy państwo zwróci się ku stosowaniu przemocy, znowu rozpoznawane jest przez słabych z relacji folwarcznej jako „prawdziwy pan”.

Autoagresja, udręczanie siebie, jest jednak też znakomitą bronią w ciągłej walce, która przecież stanowi istotę relacji folwarcznej. Stale obwiniany, „słaby” tej relacji unika przede wszystkim wszelkiej odpowiedzialności, pokazując, że jest tak słaby, że nikt niczego nie może od niego wymagać. Jak stary Kiemlicz, jęczący „niegodniśmy, niegodniśmy...”. Co więcej jednak, rozdrapując swoje rany i eksponując nieszczęście, obwinia też „silnego”, bo w końcu jak ów może dopuszczać do tego, by „słaby” był aż tak nieszczęśliwy? Ta negocjacja odpowiedzialności za powszechne nieszczęście jest więc kolejnym polem walki. Stąd kultura ciągłego narzekania, kryje się za nim obwinianie i rywalizacja w nieszczęściu. Pozwala też istnieć, bez ryzyka ujawnienia się.

Tłumiona wściekłość i pogarda do siebie, którą strona słabsza wynosi z relacji folwarcznej, ma dalekosiężne skutki. Pierwszy z nich to przeniesienie stosunków dominacji na tych, którzy są słabsi od słabego. Dzieci, wspomniana już żona, każdy może dostać „w ryj”, to zaś pozwala słabemu na moment poczuć się silnym. Podobnie, pomiatanie sprzedawcami, kasjerami, kelnerami i kelnerkami, wszystkimi, którzy akurat znaleźli się w sytuacji zależności.

*

Typowym bowiem ryzykiem, na które naraża się słaby w odpowiedzi na jakąkolwiek próbę zaistnienia, jest obwinienie. Obwinienie, przypisanie winy, jest strategią silnego pozwalającą mu na utrzymanie i stabilizację hierarchii w relacji folwarcznej, podtrzymywanie „kontraktu folwarcznego”, połączone na dodatek z rozkoszą dominowania. Ten, kto ma prawo oskarżać, jest przecież dysponentem prawa. Prawa, czyli, jak zauważał Kant, rezerwuaru godności.

Przy tym obwiniając i stosując inne strategie przemocowe, „silny” w relacji folwarcznej ponosi pewną nieprzyjemną konsekwencję – inny oddala się od niego, mówiąc metaforycznie, „na odległość bata”, a on sam tkwi w pustce swojej domniemanej wyższości. Wbrew pozorom nie jest to wcale mały koszt, brak zwykłej ludzkiej życzliwości, ciągła wrogość i niechęć, nawet bierna, z którą się obcuje, wszystko to na dłuższą metę jest nużące i smutne.

W gruncie rzeczy podstawową winą „poddanego” jest sam fakt zaistnienia, ale obwiniany jest zwykle za jakieś fakty, związane z aktualną „wypowiedzią”. Ten moment relacji prowadzi do tragicomicznych nieporozumień, którymi usiane są stosunki społeczne w Polsce.

Rozważmy, ponownie, rozmowę lekarza z pacjentem. Lekarze, mający nad pacjentami ogromną władzę – to dysponenci śmierci i życia, ale też sprawności i kalectwa, wreszcie bólu i ulgi – w Polsce bardzo często praktykują obwinianie jako podstawową formę rozmowy. „Dopiero dziś się pani zgłasza?!”, „Dlaczego nie zrobiła pani tych badań?!” albo „Po co to wszystko mi pan przynosi?!”, albo „Kto panu kazał brać te tabletki?!”; listę tego typu fraz, typowych dla kontaktów ze służbą zdrowia można rozwijać w nieskończoność. Chory człowiek, bojący się obwinienia, obawia się więc mówić. Ale mówić musi, żeby opowiedzieć o chorobie. Wypowiada się więc nieskładnie, mniej lub bardziej nieświadomie starając się uniknąć wszystkiego, co lekarza mogłoby sprowokować do obwinienia go, cenzurując więc często ważne fakty, a eksponując nieistotne, za to służące podtrzymaniu „folwarcznego kontraktu”. Lekarz zaś, poza wykonywaniem pracy diagnostycznej, cały czas czujnie praktykuje utrzymywanie swojej „pańskiej” pozycji, coraz bardziej zastraszając chorego.

Tu pewne zastrzeżenia. Po pierwsze, jest wielu lekarzy, którzy tak nie postępują. Traktują chorych z uwagą, troską i z szacunkiem. Tym oddają hołd i nie będą się nimi więcej zajmował. Tamtych „pańskich” jest na tyle dużo, by kontakt z nimi podtrzymywał trwałość folwarcznych stosunków lekarz-pacjent. Po drugie, często relacja hierarchiczna skryta jest za paternalizującym przejmowaniem całej odpowiedzialności za pacjenta, pozornie życzliwym, ale nie dającym mu możliwości „dorosłego” wejścia w sytuację. Prośba o szczegółowe informacje na temat decyzji, które pacjent musi podjąć jest często nadal traktowana jak

fanaberia. Wreszcie, często mówi się, że lekarz, mający w ramach kontraktu z NFZ osiem minut na chorego musi tak postępować. Oczywiście nie musi, co więcej, efektywność wykorzystania tych ośmiu minut – czasu śmiesznego – jest nieproporcjonalnie słaba właśnie ze względu na praktykowanie relacji folwarcznej.

Częste dzisiaj „cwaniarzenie” pacjentów, w stylu: sprawdziłem to w Internecie, proszę tylko o receptę, albo snucie mściwych fantazji na temat pozywania lekarzy czy wpisywani im złych opinii na odpowiednich portalach to tylko typowe próby strony słabej z poradzeniem sobie z sytuacją zależności. Sami lekarze jednak poddani są folwarcznemu traktowaniu przez ordynatorów i innych przedstawicieli wyższej hierarchii medycznej, a także urzędników dysponujących pieniędzmi. To jednak przynależy do istoty relacji hierarchicznych – każdy, cisnący słabszych, deptany jest przez silniejszego.

*

Obwinianie nie ma nic wspólnego z jakimkolwiek rzeczywistym zawinieniem, jest strategią, mającą zniszczyć zaufanie słabego do siebie i utrwalić prawo silnego do dominacji. Obwiniają więc wszyscy, którzy mają jakąkolwiek władzę, nawet okruc. Nauczyciele obwiniają dzieci, urzędnicy – petentów, księża – „owieczki”, żony – mężów, szefowie – pracowników...

Obwinianie pozwala pracodawcom na praktyki tak upokarzające, jak słynne zmuszanie kasjerek w marketach do siedzenia w pampersach. „Jeśli masz coś nie tak z pęcherzem, to wkładaj pieluchę i nie gadaj...”. Z drugiej strony, ciągłe obwinianie powoduje, że podstawową strategią pracowników jest powszechnie stosowany „dupochron”. W stosunkach zawodowych staje się on główną formą komunikacji międzyludzkiej, chroni bowiem przed zagrożeniem obwinianiem.

Ilość energii i zamęt komunikacyjny, które z tego wynikają, mogłyby na pewno zostać przeliczone na jakieś góry straconych zysków. Jednak pracodawcy są bardzo oporni na zmianę w tym obszarze – nagrody libidalne, płynące z poczucia dominacji, połączone z przekonaniem, że „z chamami inaczej się nie da...”, utrwalają ten syndrom, który polskim menedżerom przyniósł w krajach o nieco innej kulturze relacji międzyludzkich „chlubną” ksywkę „bullterrierów”.

Obwinienie nie tylko odbiera prawomocność słabszej stronie w relacji z silniejszą, ono pozbawia ją zaufania w relacji z samą sobą. Jak mogę sobie ufać, jeśli podałam dziecku jakieś złe tabletki? Nie ufam więc sobie, ale nie ufam też już poprzedniej lekarce/lekarzowi, które te tabletki mi zapisał. Bęćwał jakiś, albo, co gorsza, przekupiony przez koncerny, robi z nas króliki doświadczalne. A czy ufam temu, kto mnie przed chwilą obwiniał? W najmniejszym stopniu. Po pierwsze, przecież za chwilę pojawi się ktoś następny, kto powie: „Kto pani kazał...?!”. Po drugie, słabsza strona czuje złość wywołaną przez poniżenie, którego doświadcza. Więc z założenia nie wierzy w dobre intencje silniejszego, chce tylko wyrwać to, czego potrzebuje i uciec. Złość i upokorzenie „rozpuszczają” wszelkie zaufanie, które mogłyby się pojawić.

Nikomu nie można ufać. Nic więc dziwnego, że upowszechniają się różne, roznoszone przez internetową plotkę legendy, jak choćby ta o szkodliwości szczepień.

*

Istotną cechą relacji folwarcznej jest jej swoisty „autyzm”, izolowanie się od wszystkiego, wszelkich form odniesień między ludźmi, które są inne. W swoisty sposób sprzyjają temu popędowe energie, w relacji folwarcznej uruchamiane i rozprowadzane. Przez to bowiem, że jest ona dla strony „pańskiej” źródłem licznych i nieosiągalnych w inny sposób satysfakcji, ma owa strona tendencję do podtrzymywania jej w nieskończoność.

Przyjrzyjmy się sytuacji urzędnika wraz z petentem, który przynosi swoją sprawę. Przyjmijmy, że urzędnik nie jest „nowego chowu”, nie przeszedł licznych szkoleń, które próbują zaszczepiać kulturę demokratyczną w służbie cywilnej, a przynależy raczej do formacji, którą Stanisław J. Lec ujął pisząc, iż najbardziej przerażający jest rozrost biurokracji w społeczeństwach, które dopiero co wyszły z analfabetyzmu. Otóż urzędnik napawa się swą wielkością, pokazując nierozumnemu i przestraszonemu petentowi, że nie przyniósł takiego formularza, nie przykleił owego znaczka, krótko – jest słaby. Znana sytuacja, wielokrotnie opisywana.

Co jednak, gdy petent, pokornie pochylony, przyniesie już wszystkie formularze i znaczki? Czy urzędnik zejdzie z piedestału i sprawę po prostu załatwi? Jeśli jest stroną relacji folwarcznej, to na pewno nie. Co bowiem by z tego miał? Raczej pokaże ponownie petentowi, jak ów mało znaczy i jak bardzo jego istnienie zależy od dobroci i łaskawości urzędnika. Przypomni więc, że brak jeszcze takiego czy innego stempla. A potem jeszcze raz, i jeszcze...

Napisałem „jeśli jest stroną...”, jest bowiem wielu – coraz więcej – urzędników, którzy petentów traktują po ludzku i – przede wszystkim – kompetentnie. W ciągu ostatnich dwudziestu mniej więcej lat zmiana ta, inaczej niż w służbie zdrowia, wydaje się wręcz uderzająca. Jednak tych „folwarcznych” jest nadal dostatecznie dużo; podobnie więc jak poprzednio z lekarzami, kompetentnym urzędnikom oddaję cześć i wracam do tych pierwszych.

Ci, którzy czerpią z praktykowania relacji folwarcznej mnóstwo satysfakcji, dla których wywyższanie się, poniżanie innych i sprawowanie nad nimi władzy zaspokaja podstawowe potrzeby przeżywania, właśnie z tego względu odcinać się będą od tych części doświadczenia, w których ta praktyka jest mniej obecna. Nie ma tam dla nich nic atrakcyjnego. Jeśli więc „silnego” do relacji folwarcznej przyciąga energia rozkoszy związanej z dominacją, przez kontrast pozbawiając wszelkie inne formy odniesień mocy i barwy, coś innego nadaje charakterystyczny „autyzm” przeżyciu „słabego”. Jak już wspomniałem, autoagresywna złość odcina go od związków z ludźmi, bo każe je zawsze czytać jako upokarzające; ktoś, kto do „takiego czegoś” zwraca się życzliwie, musi przecież kpić albo manipulować. Jak mógłby być życzliwy wobec takiego „śmiecia”, jakim czuje się „słaby”?

Trzeba zatem grać przeciwko niemu, ujawnić jego podstępny i wystrychnąć na dudka. Na to zawsze narażają się przepełnieni humanistycznymi intencjami przedstawiciele strony „pańskiej”. Urażeni, odwracają się wtedy plecami i, ponownie, mówią o chamstwie. Pozostawiając „pedagogikę społeczną” siłom policyjnym.

Potężne pragnienia obu stron relacji folwarcznej popychają je zatem do tego, by odcinać się od wszystkiego, co sytuuje się poza nią.

*

Ważnym, jeśli nie kluczowym elementem całej folwarcznej sieci stosunków między ludźmi, pozwalającym na zniesienie jej nieznośnego, przytłaczającego ciężaru, jest kultura alkoholowa. Przede wszystkim w postaci rytuałów wódczanych. Niezliczone praktyki i formy pozwalają na to, żeby ten najpowszechniej dostępny narkotyk neutralizował cierpienie upokorzeń, samotności i wrogości. Dystans i niechęć topnieją, gdy pojawia się butelka, a cudowna właściwość alkoholu, polegająca na zdolności do rozpuszczania negatywnych uczuć, pozwala na przeżywanie chwil ulgi.

Ponieważ jednak przestrzeń międzyludzka musi być wypełniona usprawiedliwieniami, zwanymi kulturą, wokół prostego spożywania narkotyku rozwinęła się cała sieć zachowań, pozwalających w pełni wykorzystać międzyludzki potencjał stwarzany przez neutralizację uczuć, oferowaną przez alkohol. Uroczystości rodzinne, przyjacielskie, wszystkie te

„karniaczki” i „na drugą nóżkę” i „ze mną się nie napijesz?” pozwalają całymi godzinami celebrować różne formy zbratania, na chwilę zacierające prozę relacji folwarcznej.

Wraca ona, ta proza, na kacu.

Codzienny brak odwagi kompensowany jest zaś, w typowo wschodnioeuropejski sposób, przez wódczane „podróże do kresu nocy”, kończące się przy śmietniku albo w jakimś podziemnym przejściu.

*

Elementy relacji folwarcznej są jak komórki nowotworowe. Przez długi czas mogą tkwić w społecznej tkance mniej lub bardziej demokratycznych stosunków, powoli namnażając się i przenikając w nowe obszary, by w momencie kryzysu obudzić się, zagarniając dla siebie i pożerając coraz więcej sytuacji i odniesień, w pewnym momencie stają się systemem zinstytucjonalizowanej nierówności.

Ten moment jeszcze w Polsce nie nastąpił. Nawet jeśli bardzo wiele odniesień ma charakter folwarczny, formalnie i wobec prawa ludzie są sobie równi. Często mówi się, że wobec faktycznej nierówności nie ma to znaczenia; otóż sądzę, że jest to pogląd błędny. Nawet, jeśli hierarchiczne i pogardliwe stosunki występują bardzo często, nadal nie mają sankcji moralnej i prawnej; wręcz przeciwnie, w imię równości można przeciw nim wystąpić.

Gdy jednak nierówność zostaje usankcjonowana prawnie i moralnie, upokorzenie i zastraszanie, a na ich przeciwnym biegunie, pycha i brutalność stają się normą. Nikt już nie pyta wówczas o to „z jakiej racji?”, raczej samo przeciwstawienie się nierównościom uważane jest za wykroczenie. Tak wyglądały społeczeństwa feudalne, kolonialne, społeczeństwa oparte na poddaństwie, w tym kierunku może rozwijać się cywilizacja współczesna, jeśli proces oligarchizacji będzie postępował.

Jednak jeszcze tak nie jest...